

Drabina taty

Tata był leniwy tak po prostu, z natury. Bo, kto wie, może natura, wbrew pewnym pozorom, jest statyczna? A tata wychował się na wsi i do natury miał blisko? Tak czy inaczej, do pracy chodził, bo musiał, i nawet wtedy, kiedy był na swoim i lepiej zarabiał, nie skutkowało to u niego intensywniejszym - ruchem. A potem długo nie miał pracy. I nie umiał jej szukać. Szczerze mówiąc, pierwsze co widzę, to tata rozwalony na wersalce, z gazetą, w luźnych majtach, wyciągniętej, białej podkoszulce. Kładł się na boku, podpierał jedną ręką, a drugą pieszczotliwie drapał po tłustym brzuchu, który jakby leżał przed nim, na widoku, na pokaz. Drapał się, głaskał czy skubał przy tym paznokcie u nóg bezwiednie, wolno, zapatrzony przez mocne okulary o prawie czarnych szklach, których chyba nigdy nie zdejmował, w leżącą przed nim gazetę. Czasem zapominał się i dziwnie wykrzywiał twarz, szczerząc swoje piękne, zdrowe i mocne zęby. Lubiał czyścić je językiem, cmokał wtedy i ciućkał. Nade wszystko zaś lubił sobie pierdnąć. Długo i konkretnie.

O zrobienie w mieszkaniu czegokolwiek – pawlacza, półek i innych usprawnień, których domagały się realia socjalizmu - mama musiała toczyć boje. – A na co ci to! – rzucał wtedy nie podnosząc czarnych okularów znad „Polityki”. Mama zaczynała krzyczeć, że na nic nie ma, że inni to to, a jeszcze inni tamto, na wczasy jeżdżą, pożyczki biorą, a on nic, nic, pieniędzy nie umie zarobić, na dupie tylko leży, pierdzi i po jajach się drapie. Tata odgryzał się z rzadka, zwykle wypominając jej, że gdyby sama pracowała, jak wszyscy, to na wszystko by było. To ją rozwścieczało do reszty, bo ona celowała w model nowoczesny - rodzina dwa plus jeden, przy czym pracą kała się jedno tylko z rodziców – i wyzywała go od chamów, wsioków, co polsku nawet mówić nie umieją. – Bydlę cholerne... – to padało często, wypowiedane z najwyższym wstrętem. Ale był jeszcze

wyższy stopień wstrętu: - mm... mmM... MMM... – powtarzane wielokrotnie, przez nos, w coraz wyższych rejestrach, z pańskich wyżyn, jako bezwarunkowy wyraz odrazy, pogardy dla prymitywu, na opisanie którego po prostu brak i szkoda słów. Kończyło się zawsze tak samo. Tata miał dość i robił to, czego od niego chciała. Jak już zaczynał, widać było, że nawet go to kręci, ale ruszyć go do czegoś to była mordęga. Awantura była konieczna, coś jak ładowanie baterii.

Tak naprawdę ruszał go samochód. Maluch w tamtych czasach mógł dać poczucie życiowego spełnienia. Może tak było i w jego przypadku. Maluch, garaż, i co dalej? A no nic. Zmienić. Malucha na nowego. Malucha na coś większego. Potem na jeszcze coś większego, z giełdy, sprowadzanego, pierwszy właściciel i takie tam. Jednak tak sam z siebie tata rzadko bywał ożywiony.

Chyba na zasadzie wyjątku potwierdzającego tę regułę raz zdarzyło się jednak coś dziwnego. Tata ze spaceru w lesie pod naszym osiedlem przytachał korzeń, splątany dziwacznie kłęb drewna. Oczyszczył go z resztek kory, wykąpał w wannie, wyszorował do gołego, obciął co mu nie pasowało, pomalował lakierem bezbrownym i - uznał, że przypomina ptaka. Dla pewności w miejscu oka wbił pinezkę z płaską główką z czerwonego plastiku. Nie bardzo wiadomo było co z tym robić, ale po dokręceniu podstawki pod doniczkę i drucika do wieszania, powstał całkiem awangardowy kwietnik na ścianę. Zrobił jeszcze dwa podobne zanim mu przeszło.

Dlatego drabina była dla mnie zaskoczeniem. W pierwszej chwili.

Było to wiele lat później, już dawno przestali się kłócić i jeździli czymś większym od malucha. Dzień był ładny, ciepły wiatr pędził chmury, z drzew leciały ostatnie liście. Przyjechałem do nich na działkę i zobaczyłem, czy nawet tata sam się pochwalił – o tak, sam się pochwalił, na pewno – nową, własnoręcznie przez siebie zrobioną drabiną. Już sam fakt jej zbudowania mógł uchodzić za sensacyjny, ale jeszcze bardziej zdumiewała staranność wykonania – wszystko z solidnych beleczek typu łąta, szczeble we

wcięciach, pod kątem, bez luzów – i rozmiar. No właśnie. Na działce były tylko dwa miejsca, do których można było taką drabinę przystawić. Stary orzech włoski, który dawał nikomu niepotrzebne włoskie orzechy, i liche domek, jeszcze po dziadku, nazywany altanką. Tu i tu nie było po co wchodzić. Zresztą tata był już wtedy w trzecim roku przypychanek z rakiem, kiedy już wiadomo było, że jest nawrót. Jednak tamtej jesieni miał jeszcze siłę, żeby zbudować drabinę. I na nią wejść. Wybrał altankę.

Patrzyłem jak wchodzi. Mocno, prawie radośnie chwycił się swojej konstrukcji, stawiał nogi na szczeble, jakby testując wytrzymałość każdego z osobna - a one przecież z łatwością uniosłyby kogoś dużo, dużo cięższego. Bo tata był już lekki, leciuteńki, jak piórko. Coś tajemniczego stało się z jego wspaniałym brzuchem, który latami świadczył o tym, że w sumie, chyba, przecież, raczej, nie jest tak źle. Że wszystko, mimo paru niesprzyjających okoliczności, jest na dobrej drodze. Że co najmniej jakoś to będzie. Będzie! Lecz zniknął brzuch. I potężne ramiona zniknęły, włosy się zakręciły, zęby pożółkły, a ich równe rzędy przebijały jak trupie korale spod cienkiej skóry.

Wszedł na dach, od razu przykucnął i tak popatrzył w niebo. Na chmury, które nigdy nie były tak piękne. Na kogoś, na siebie patrzył. Żegnał się, ale nie celebrował tego długo. I to mnie, jak to mówią, urzekło. I wtedy zrozumiałem po co zbudował drabinę.

Nie, żeby wjeść po niej na dach i polecieć z wiatrem, do nieba, spotykać się z aniołami i takie tam. Nie. On zbudował drabinę po to, żeby została. Po nim, żeby została. Żeby zawsze kiedy na nią spojrzę albo tylko o niej pomyślę, przypominała mi, że tata to nie był byle kto. Że umiał zbudować piękną, wytrzymałą, praktyczną bardzo drabinę. Która to drabina była przecież tylko drobnym przykładem jego w gruncie rzeczy niemal nieograniczonych możliwości. Niemal. Bo on w ogóle mógł sporo, wiele, bardzo wiele. Prawie wszystko.